



Redaktor działu audycji regionalnych Rozgłośni Poznańskiej — Stanisław Strugarek pilnie przegląda nadchodzące listy przysłane ze wszystkich stron Wielkopolski na Konkurs Regionalny.

KOCHANY OBYWATELU STANISŁAWIE

Ja również chcę dołożyć do Waszego wielkiego konkursu może nie ręki, ale choć tylko małego palca. Chcę spisać Wam te okruciny, które w mojej starej głowie pozostały. Są to wiaty, przyspiewki weselne i różne inne kawałki i kuplety, jeszcze za moich młodych lat pozbierane tu w Wielkopolsce i na obczyźnie, zasłyszane podczas różnych uroczystości rodzinnych i na zabawach.

Jak to dobrze, że choć okruciny zostaną pozbierane z tego, kiedyś tak obficie zastawionego stołu, przybranego różnego rodzaju pieśniami naszego ludu.

Te pieśni polskie, te przyspiewki, te wiaty nasze odróżniały nas od zaborej pruskiego, który nie mógł złamać ducha, ani obyczajów polskich. Te pieśni utrwalały w nas wiarę, że przyjdą dni kresu naszej niewoli, że przyjdzie nasza wolna, ukochana Ojczyzna.

Dziś nam, starcom, siwizna głowy przypomniała. Nie wróć już dawne czasy. Nie będziemy już na weselach, gdzie dudziarz i skrzypki nam przygrywały. Zmieniły się czasy i zmienili się ludzie. Gdy czasem usłyszę w radio muzykę na dudach i skrzypkach, to mnie tak wzruszy, że nie wiem, czy z radości, czy z żalu czy mi się cisną do oczu. Wówczas wnuczki moje mówią:

— Dziadziu, tak ładnie grają, a dziadziu płacze.

I im się dłużej rozstuchuję, tym mi więcej radość moja pierś rozpiera.

A więc, proszę, dajcie dla nas, starych, więcej dudów choć 5 minut tygodniowo, parę przedków lub wiatów. O to bardzo prosimy.

Władysław Mikołajczyk
Poznań, ul. Czarnecka 20.

☆

...I mam zamiar przedstawić i zgłosić Kochanemu Radiu osiem piosenek. Są to piosenki narodowe i ludowe. Przez sześć lat słuchałem radia, ale tych piosenek jeszcze nie słyszałem. Muszę się przyznać, że niektóre z nich śpiewałem mając 12 lat. SŁAWAŁEM JE NASZEMU KOCHANEMU MARCINOWI KASPRZAKOWI, KTÓRY U MOICH RODZICÓW BYWAŁ STAŁYM GOŚCIEM.

Mam obecnie 73 lata. Jestem emerytem PKP.

Stanisław Weinert
Poznań, Dzierżyńskiego 251

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok V numer 4

Niedziela, 23 I 1955

LEGENDA o ubogim dziadku i bogatym panu

Był sobie ubogi dziadek. Siedział przed domem i dumiał nad losem swego życia. Natenczas przyszedł pewien pan. Odzywając się do niego zapytał, dlaczego taki smutny. Dziadek odpowiedział:

— Pracować nie mogę, że brać się wstydę, pieniędzy nie mam, będę musiał z głodu umrzeć.

— To się kłopotysz o dalszy los swego życia. Dasz mi



dobytęk swój, kiedy wszystko liście z drzew opadnie, a w zamian dam ci kapelusz złoty — I odszedł.

Dziadek nie zadowolili się kapeluszem złotym. Wykopał głęboki dół, na nim położył kapelusz, w którym zrobił dziurę. Kapelusz tak zaopatrzył, żeby do dołu nie wpadł. Umówiony pan przyszedł nie z kapeluszem, ale z workiem złota. Wyspał się do kapelusza. Pusty. Przyniósł drugi i trzeci. Dopiero za trzecim razem kapelusz był pełny po same brzości. I rzekł:

— Ja spełniłem swoje i ty spełnisz swoje. Jak wszystko liście z drzew opadnie, skorzy stam z twego dobytku.

Dziadek miał złota aż trzy worki. Jeden przeznaczył dla ojczyzny, drugi dla biednych, trzeci dla siebie.

Jesienią liście zaczęło opadać. Przyszedł umówiony pan.

— Przychodzę skorzystać z twego dobytku!

Dziadek zasmucił się. Ale przypomniało mu się, że są w lesie drzewa, z których liście nie opada i tam zaprowadził owego pana.

— Widzisz, bracie, jak to liście z drzew opadnie, możesz skorzystać z mego dobytku.

Pan odszedł ze złością. ANTONI SMOLAREK wleś Huta pod Odolanowem

Gospodarz i parobek

Pewien zamożny chłop miał parobka i jedną córkę. Parobek zakochał się w córce, ale gospodarz za nic w świecie nie chciał oddać córki parobkowi. A był on bardzo pobożny. Co niedzielę szedł do stodoły i tam się modlił. W jedną niedzielę parobek poszedł wcześniej do stodoły i wlaży w sноп słomy. Czekał na pobożnego gospodarza. Wnet gospodarz przyszedł, zaczął się modlić i bić w piersi:

— Boże, odpuść mi!

Ze snopka coś się odezwało:

— Nie odpuszczaj!

Chłop zapytał strwożonym głosem:

— A dlaczego?

Ze snopka dało się słyszeć:

— Bo nie chcesz dać córki parobkowi.

— W taki sposób dostał parobek córkę gospodarza za żonę.

WŁADYSŁAW SPLAWSKI Rąkolewo, pow. Leszno.

Gospodarz biegiem udał się do chałupy i mówi:

— Stara, z Bogiem rozmawiałem i powiedział, że mi nie



odpuści, jeśli córki nie damy parobkowi.

W taki sposób dostał parobek córkę gospodarza za żonę.

WŁADYSŁAW SPLAWSKI Rąkolewo, pow. Leszno.

Od Poznania jadą...

Od Poznania jadą, gdy muzyka grała jeszcze z konia nie zlaży już mu dziewczę rają

Rają mu-ci rają duże wiano dają, cztery wory sieczki i popiołu beczki

I jeszcze do tego konia kulawego, także psa ślepego i kota kusego

Ale ja nie głupi, by wziąć takie wiano, ale sobie wezmę pannę... malowaną!

Maria Okoniewska członkini spółdz. prod. w Tworzanicach pod Rydzyną

PIEŚŃ o krzywdzie ludzkiej

A my spod pana i spod gospodyni... co pan nie wycisnie, jegomość uczyni. Nie ma dla nas zmiłowania, izby nase cuchną, a dzieckom naszym brzuchy z głodu puchną.

Pan ci do wypłatę, pewnie pół kobiałki, to se w mieście kupisz soli i zapalki. Ni ma co wyrzekać, wielgie gotowanie, raz woda pieprzona, raz żurek na zmianę.

O rozstap się, ziemio, krwią naszą zroszona, nie każ dłużej cierpieć, ojczyzno rodzona!

(ze wsi Kurabka)

KONKURS REGIONALNY

Przed stu pięćdziesięciu mniej więcej laty rzemieślnym dyszłem od dworu do dworu, od plebanii do plebanii jeździłem niezmordowany zbieracz podań, pieśni, przysłów, zwyczajów i obyczajów pan Oskar Kolberg. To, co usłyszał i widział, skrzętnie notował, by utrwalić w 40-tomowym dziele „Lud i jego zwyczaje...”. A że grzeczny był i ułaskawny, przecież wyjadacz chleba z wielu pieców, wypadało mu nie wszystko utrzymać na kartkach. A może by się książkę pleban pogniewał, że i takie rzeczy zbiera. A było i wiele dyktaryjek na księży i piosenek ujawniających grzeszki niejednej poświęconej osoby (dostałby za to z kazalnicy!). I od panów dziedziców był zależny O. Kolberg, przecież gościna, podwoda, pomoc... Nie godziło się spisywać pieśni na jasnie wielmożnych. No, bo jakże? I dzieło trudno byłoby wydrukować, i czytelników znaleźć. Było po prawdzie w niejednym dworze trochę chłopomanii, bo wiadomo — Polska to chłop w swojej masie i przy ich pomocy łatwiej byłoby wrócić wolność Rzeczypospolitej szlacheckiej, a po części domagała się tego moda, ale było to raczej dobrotliwym klepaniem „konia”, który przecież miał orać, siał, kosić i młócić, by pan mógł bawić się i filozofować. Nie bez przyczyny więc i celu ta piosenka:

„Chłopce ci ja, chłopce, w polu dobrze orę, wszystko mi się dobrze dzieje...”

I z tej rzemieślniczo-dyszlowej podróży wyrosło wprawdzie dzieło olbrzymie, nie na miarę jednego człowieka, bogate ale i w wielkimi brakami, niedomowieniami, przeczczeniami, dzieło, które zawsze potrzebuje uzupełnień i poprawek.

Podobnie było z dziełami Zyg. Glogera (1845—1910) — „Obchody weselne” i „Pieśni ludu”. Domier dwóm młodym naukowców poznańskich — pp. Sobiescy z początku na rowerach (przed wojną), a później (po ostatniej wojnie) przy wydatnej pomocy władz ludowych samochodem z aparaturą dźwiękową zapisało na taśmach około 40 tysięcy pieśni ludowych, z czego więcej niż połowa z Wielkopolski. Nie wszędzie jednak dotarła ekipa poznańskich muzykologów i nie wszystkie pieśni zostały zaśpiewane przez nasze ludowe pieśniarki.

☆

Czas szybko leci. Od tej chwili, kiedy lud ujął władze w swoje ręce zaczęliśmy dokonywać w ciągu roku tego, na co dawniej trzeba by kilkudziesięciu lat. W niesłychanie żywym procesie przemian nie trudno o pominięcie pozornych okrucich, nie mniej ważnych w tworzeniu nowej kultury. Dobrze się więc stało, że ostatnio Poznańska Rozgłośnia Polskiego Radia urządziła konkurs na zebranie pieśni i opowiadań ludowych. Głos na falach eteru dotarł wszędzie. Do dotychczasowych zbiorów dochodzi w tej chwili nowy, bo oprócz zanotowanych już melodii i tekstów, czy to przez Kolberga czy Sobieskich, znalazły się w dziale audycji regionalnych Rozgłośni Poznańskiej zupełnie nowe, o których nie mógł wiedzieć Oskar Kolberg — lub mu nie wypadało ich zapisać. Trzeba powiedzieć, że konkurs radiowy miał to szczęście, że ogłoszony został

Napisał: JÓZEF PIEPRZYK

na „pięć minut przed dwunastą”.

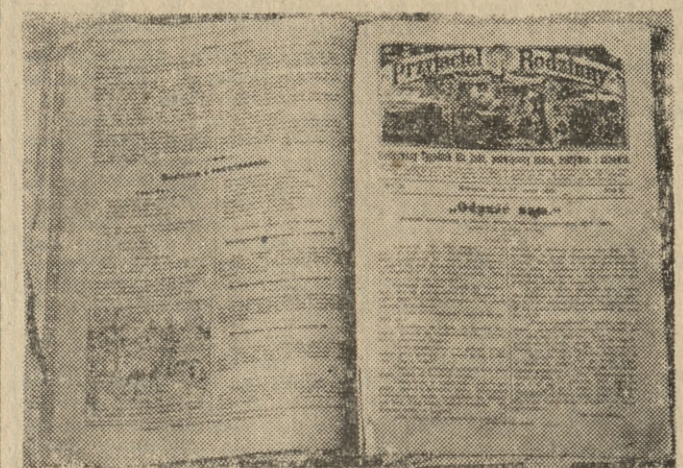
O tym właśnie konkursie chcę mówić w tym artykule i „gwoli” zaspokojenia ciekawości naszych czytelników i by zachęcić jak najwięcej naszych ludowych pieśniarzy i gawędziarzy do wzięcia w nim udziału.

„Sprawcę” konkursu znalazłem zagubionego w stosach listów i pękach beczek w redakcji Rozgłośni Poznańskiej. — To wszystko, co nadesła-

Niektóre zdradzają młodą rękę. To dzieci: córki, synowie albo nawet wnukowie piszą pod dyktando dziadzi lub babusi.

Do konkursu przylączyła się także młodzież. Ot, na przykład Hanka Koropka z Jarocina, która uważa Strugarkę za staruszkę. Daje ona próbkę samorodnej twórczości, własnej. Proszę posłuchać, co pisze:

Strugarku, staruszkę, nie gniewaj się na mnie, figle mnie się trzymają i nie mogę za nie. Prawie każdy list posiada gruby załącznik. Pieśni i opowiadania. W pieśniach — różnie. Jak



Wśród nadesłanych na konkurs pieśni ludowych i opowiadań, znajduję się dużo bardzo cennych starożytnych śpiewników i starych tygodników, zawierających ciekawy materiał regionalny. Na zdjęciu: jeden z takich unikatów — rocznik „Przyjaciel Rodziny” — redagowanego przez K. Miarke, zasłużonego bojownika o polskość Śląska. Rocznik ten znajduje się w zbiorach, z których będą korzystał naukowcy.

M słuchacze naszej Rozgłośni w tych niewielu dniach — mówi znany ze swoich audycji regionalnych — redaktor Stanisław Strugarek. — Tych kilkadziesiąt listów zawiera blisko 3 tysiące różnych piosenek ludowych i blisko 200 opowiadań, legend, baśni.

— A jak doszło w ogóle do ogłoszenia konkursu?

— Często jeździłem po wioskach naszego województwa celem nagrania audycji regionalnych. Ludzie przychodzili do naszej ekipy z ciekawością. Niektórzy z nich chcieli zobaczyć Strugarkę, inni żeby pochwalić się piosenką, której jak twierdzili nieraz słyszeli: „na pewno nie znacie”. Interesowały mnie opowiadania, baśnie, bo to zawsze bogaty materiał do gawęd. Dyrektor naszej Rozgłośni Godlewski zachęcił mnie do ogłoszenia konkursu, który by pozwolił zebrać te wszystkie nieznane jeszcze utwory wiejskie. Nagrody znalazły się. Doszły i nowe, bo dla uczestników konkursu bardzo cenne upominki przeznaczyła poznańska ekspozytura CPLA...

Stanisław Strugarek nie zdążył skończyć zdania, gdy na biurko spadła nowa poczta. Wszystko — listy z materiałem do konkursu.

W jednym z nich seniorka wielkopolskich pieśniarzy — Ciesielkówna z Kościana przysłała śpiewnik polski z 1914 roku. Unikat. Obiecuję jeszcze zaśpiewać wiele piosenek, których nie śpiewała ani Sobieskim, ani nikomu innemu. Przypomniała jej sobie nie dawno. A szkoda, żeby przepadły. Józef Staszak z Jarocina, spod Srody zgłasza 54 piosenki.

Zagladnijmy do innych listów. 100 melodii zaofiarował Antoni Szalamacha, spółdzielca w Rudnikach spod Opalenicy. Józef Napierała z Poznania chce zaśpiewać dwie pieśni, niezmiernie cenne. O naszych wielkopolskich kosynierach z roku 1848: „Kto zna Miłostawia brzegi” i „Tam od Wrześni, tam od Warty...”. Ktoś z Bukowca Górnego (powiat Leszno) postanowił zaataczyć „wiewata”, ale „wiewata” prawdziwego. Chwilowo trudno nam odszukać nazwisko tego uczestnika konkursu. Oryginalnemu tańcowi postanowiła się przyłączyć poznańska szkoła baletowa. Stefan Skorupski — hetman regionu wloszakowickiego — zadeklarował „24 śpiewaków — i dwie „gadki” o tamtejszym rodaku i ojcu polskiej opery — Kurpińskim. O te „gadki” już wola Warszawa jako o materiał do swych audycji. Krystyna Pecherska z Konina oznajmiła, że tamtejszy taneczny zespół harcerski po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci lat pokaze stary kujawski taniec „drabant”. Bronisława Ratajczak i Salomea Szymańska z Noskowa (pod Jarocinem) — oprócz piosenek, przysłały ofertę zagrania na staroflamandzkim instrumencie „epina” naszych pieśni ludowych, które emigrantom naszym w Belgii przypominały Ojczyznę.

Listy są niezmiernie ciekawe, a przy tym serdeczne.

kiedyś w życiu bywało. Miłośniczo, tęskno, smutno, buntowniczo, czasem tryśnie radość.

Wesoły ja parobeczku, zalecam się do dziewczeczek, do dziewczeczek się zalecam, każdej taniec przyobiecuję albo:

W polu grusza stoi, piękne gruszki rodzi, powiedz, powiedz, moja miła, kto do ciebie chodzi... albo:

Gonił panicz dziewczę po polu, aż zdybał ją w chabrze, w kąkolku.

Dziewucha jak wiosna rumiana, płakała, broniła się panu...

Sa tu i pieśni obyczajowe. Stare, godne.

„Przed sień przyjechali, siadać jej kazali, do kościoła ślubować — a ja sobie muszę, a ja sobie muszę rodzicom podziękować. Dziękuję ci, ojcie, dziękuję ci, matko, wam stokroć raz jeszcze, żeście mnie dotychczas pięknie wychowali.

Teraz idę precz od was... Przejrzyjmy także ludowe baśnie. Ile w nich satyry i humoru! To przecież chiopskie „ewangelie”, „książki”, „gazety”, w tych latach, kiedy lutywo dymiały oświetlało wieczory zapadłych chat chiopskich — jedyne urozmaicenie, gdy o tym samym czasie bawił się dwór, pił, hulał.

I w tych opowiadaniach uderza zwyczajność, szczerość słowa, mocna logiczna konstrukcja — piękno treści i formy.

— Bógaty materiał dla etnologów — rzucam w natłoku myśli uwagę redaktorowi audycji regionalnych.

— Tak, to praca na parę lat. A jest tu dużo problemów. Na przykład sprawa chiopskiego humoru. To przecież duża księga satyry w pieśniach i opowiadaniach. W tej chwili myślę o całkowitym przestawieniu swojej konferansjerki, właśnie w oparciu o chiopską satyrę.

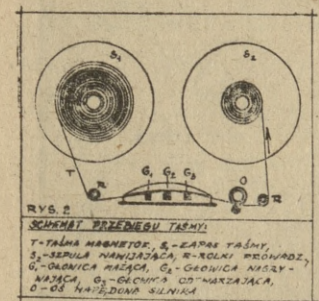
☆

Twórczość ludowa otoczona jest w naszym ustroju szacunkiem i opieką. Państwo naczą dąży do tego, by dzieło, zapoczątkowane przez Kolberga i Glogera, było wykonane w pełni i weszło do naszego nowego skarbca kultury. Przyczynić się do tego może każdy, kto zna pieśni, baśnie lub opowiadania swego regionu czy wioski, prześle je do redakcji Rozgłośni Poznańskiej.

DŹWIEKI zaklęte w skrawku PAPIERU

Na paryskiej Wystawie Światowej dźwięki fizyka Valdemara Poulsena zademonstrował w 1900 r. skonstruowany przez siebie „telefonograf”. Odbierana rozmowa telefoniczna mogła być nagrywać na taśmie stalowej. I później dowolną ilość razy odtwarzać. Przyrząd ten to działo magnetofonu (Prypomina on zresztą, pamiętacie stary Czytelnicy, słowianę przed ostatnią wojną taśmę w Polskim Radio tzw. taśmę stalową — czyt. stiloną).

Zasadą telefonografu była zamiana drgań akustycznych na magnetyczne linie sił i odwrotnie. Odtwarzanie to, jak w każdej maszynie grającej, jest odwróceniem tych czynności. Rewelacja było przede wszystkim to, że ten sam przyrząd nagrywał i odtwarzał zapis i to natychmiast. Mimo kilku wprowadzonych ulepszeń w pierwotnym telefonografie, których wynikami były m. in. „dyktafon” i wspomniany już steel system, nie przetrwał jednak do na-



szych czasów. Powodem były uboczne szmery niewygodna taśma stalowa oraz mierna jakość odtwarzanych dźwięków.

Czterdzieści lat dociekań

Upłynęło jeszcze wiele lat zanim magnetyczne utrwalenie dźwięku doszło do stanu dzisiejszego. Ważnym etapem było m. in. ulepszenie w końcu lat dwudziestych lamp wzmacniających, wynalezienie w roku 1930 nowego typu taśmy w postaci do dziś jeszcze używanej, wreszcie wprowadzenie w roku 1940 poddawania taśmy działaniu prądów wysokiej częstotliwości przy mazaniu i nagrywaniu dźwięków.

I oto niedługo po ukończeniu II wojny światowej słyszymy po raz pierwszy nieznane nam dotychczas słowo: Polskie Radio

ZUPA WĘŻOWA z chryzantemami CZYLI delikie chińskiej kuchni

Chinacyzmy są urodzonymi, ku charzami, a potrawy, które można zamówić w przeciętnej chińskiej restauracji, są niezwykle różnorodne i pociągające. War to przypatrzeć się gościom i kucharzom, otaczających przynajmniej jedną, jakich dziesiątki spotkać można na ulicach miast — Smakowite wonie, wśród których przebijają zapachy gorącej oliwy sojowej, czosnku, pieprzu, a także innych ostrych korzeni, oia czają przygodnych biesiadników oraz całe sąsiedztwo. Oczywiście, również cierpkie zapachy zielonej chińskiej herbaty daje się łatwo wyróżnić. Widzi się dalej rozmaite pieczywo przezroczyste i chrupkie, podgrzany na parze chleb Mante, dalej Dzauдзе — rozmaite pierożki, wypełnione mięsem bądź rybą, wreszcie przez różne kluski, drób, ryby oraz mięsowa w dziesiątkach różnokolorowych sosów.

Karpie własnej hodowli

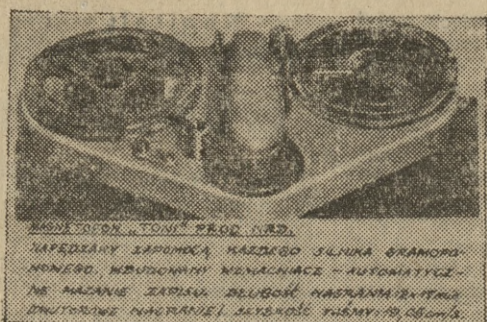
Dawniej przeciętny Chinczyk raz na rok oglądał mięso a dzisiaj może sobie już pozwolić na tę przyjemność coraz częściej. Przekonuje nas o tym przechadzka po targowiskach i rynkach miejskich.

Drób należy do delikatesów, a specjalnie chętnie kupowane są wszelakiego gatunku ryby. Jest ich w Chinach bardzo wiele, a takie np. karpie utrzymywane są przez każdego rolnika na zalanach ryżowych.

„Zepsute” mleko

Jeżeli znajdzie się ktoś przy padkowiu na przyjęciu w Kantonie, wówczas może się zdarzyć, że wyróżni się go zupa węzowa z chryzantemami. Nie mówiąc już, że będzie zmuszony przelknąć kawałek wędzonego psiego uda. Początkowo będzie mu nieco dziwnie, lecz wyjątkowo smacznie przyrządzone potrawy, zachęca go do tego, że sięgnie po porcję pederaków z pół ryżu, wych, oblaných wysoce pikantnym sosem. Zanim się zresztą w tym wszystkim rozpozna, tak ryżowego wina zneutralizuje ewentualnie nieprzyjemne refleksje.

Pederaki, węże, bądź „gniazda jaskółcze” — jest to sprawa smaku, przyswyczałenia i wielokulturowej tradycji. Można się z tym zgadzać, albo nie, lecz faktem pozostaje, że nasze smaczne ma-
-ło czy ostre sery, każdy Chińczyk określi pogardliwie — „zepsutym mlekiem”!



gląda, że w darze od Związku Radzieckiego otrzymało kilka „magnetofonów”, które w dużym stopniu rozwiązały trudności w prowadzeniu programu.

Poznajemy wnuka telefonografu

Wypada teraz przystąpić do zaprezentowania Czytelnikom tego wspaniałego przyrządu. Przedstawiamy na załączonej fotografii popularny w NRD, amatorski magnetofon „TONI”, który może być napędzany każdym silnikiem adapterowym. Wystarczy tylko nasadzić TONI na oskę adaptera, podłączyć doń odbiornik radiowy lub mikrofon oraz głośnik... i już zabawa gotowa (schemat nagrywania i odtwarzania — ryc. 1).

Magnetofony używane w naszych rozgłośniach są bardziej skomplikowane, przypominają komodo lub piekarnik gazowy, lecz działanie ich nie różni się od działania „Płiputa” który widzicie na zdjęciu.

„Czarno” dzieje się taśma, która przechowuje w sobie wspaniałe synkopy muzyki tanecznej, rzewnej i kłikowej „Elegie” Griega lub wreszcie przemówienie moza stanu, to cieniutkie (o grubości 0,035 mm — 35 mikronów) pasemko celulozowe z celulozy octowej, pokryte warstwą ferromagnetycznego tlenku żelaza (gamma Fe₂O₃) — grubości 15 mikronów).

Niewidoczne dla oka dźwięki utrwalone zostają na taśmie jako linie sił magnetycznych. Nie ma tu żadnych rowków jak na płycie pate- czy gramofonowej, nie ma też przeróżnego



kształtu linii, jak to ma miejsce na błonie filmu dźwiękowego.

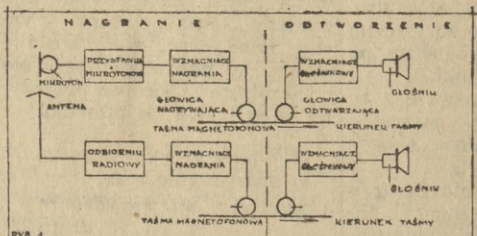
Pierwszą rzeczą, jaką rzuca się nam w oczy, to szpulę z taśmami. Mały silniczek elektryczny nawija „zużyta” taśmę na jedną ze szpul podczas gdy drugi silnik z jednakową szybkością (róż-

nią w zależności od klasy magnetofonu) transportuje taśmę między gumowymi rolkami i głowicami, o których będzie niżej mowa (ryc. 2). Omówimy teraz zasadę działania magnetofonu.

Przed nagraniem, aby usunąć uprzednio utrwalone dźwięki, należy

taśmę poddać działaniu głowicy maziącej (kasującej zapis). Głowica, to rdzeń żelazny uzwojony nawięziem na izolowanym drucie miedzianym i posiadający szczelinę między obu końcami biegunów. Nagrana strona taśmy, przebiegając koło szczeliny, poddana jest magnetycznym siłom, wywołanym przez działanie prądu zmiennego wielkiej częstotliwości. Te szybkie zmiany prądu usuwają nagranie i nie pozostawiają na niej po opuszczeniu głowicy niemal śladu magnetyzmu. Taśma jest już gotowa do nagrania.

Podobny proces następuje z małymi różnicami przy utrwalaniu dźwięku. Następną głowicą (ryc. 3), nagrywającą, nanosi na taśmę przetworzone prądy mikrofonowe, wzgl. wzmacnione przez odbiornik prądu antenowe



w postaci prądów wysokiej częstotliwości. Powstałe w szczelinie głowicy nagrywającej pole magnetyczne przenosi się na przesuwającą się taśmę. Zgodnie ze zmianami prądów mikrofonowych, warunkowanymi przez występujące drgania dźwiękowe, zmienia pole magnetyczne swój kierunek. Po opuszczeniu głowicy nagrywającej pozostaje na taśmie magnes szczytkowy, którego siła odpowiada sile pola magnetycznego głowicy.

Nagrawszy taśmę, to znaczy utrwaliliśmy na niej dźwięki, przepuszczamy ją ponownie po przednim przewinięciu (to nie-
-stety, jeden z najważniejszych mankamentów magnetofonu) ze szpul S₁ na szpulę S₂, włączając tym razem głowicę odtwarzającą (ryc. 4). Przechodząc obok niej, taśma oddziałuje na nią magnetycznymi liniami sił, utrwalałymi w warstwie tlenku żelaza. Linie te indukują (wzbudzają) w uzwojeniu rdzenia głowicy prąd zmienny. Powstanie prądu indukowanego jest tu możli-

we dzięki temu, że linie sił mogą się zamknąć ponad rdzeniem głowicy.

Jeśli te prądy zmienne, odpowiadające utrwalonym prądom mikrofonowym czy antenowym, skierujemy po odpowiednim wzmacnieniu do głośnika, wtedy drgania membrany głośnikowej odtworzą dźwięki, które przed chwilą pochwylił mikrofon czy antena.

Dużo zalet

Możliwości magnetofonu nie kończą się zresztą na prostym na graniu i odtworzeniu. W odróżnieniu np. od płyty gramofonowej możemy nieopierzchną lub błędną wstawkę nagrania po prostu wyciąć i pozostałe kawałki taśmy skleić. Jakoś odtwarzania nie na tym nie ucierpi. Nagrać można także np. występ chóru 4-głosowego, złożonego z 11 osób, utrwalając na tej samej taśmie kolejno poszczególne głosy.

Potrzebne nieraz w słuchowiskach radiowych zjawisko echa lub pogłosu wielkiej sali, to równie pole do popisu dla magnetofonu, który stworzy nam ten efekt w małym zupełnie studio. A najważniejsze to, że taśma zużywa się w o wiele mniejszym stopniu niż płyta gramofonowa — nawet kilkasetkrotnie „puszczenie” tej samej taśmy nie powoduje zmian w jakości zapisu.

Cały zaś magnetofon to, jak widzicie, maleńka skrzyneczka (są i magnetofony kuferkowe). Długie nagrania taśmy tego amatorskiego przyrządu wynosi 17 minut; w NRD produkuje się już magnetofony i taśmy dzięki którym długość nagrania można podwoić — taśma posiada w tym wypadku jakoby dwa tory równoległe do siebie.

Choć nieliczne, ale wady

No dobrze, powiecie, same tylko superlatywy, a gdzie cechy ujemne? Oczywiście, są i te, ale nauka z pewnością potrafi je usunąć. Tak np. mimo najstaranniejszego zmazania poprzednich nagrań, daje się słyszeć poprzeczną treść dawniejszy zapis — tylko zresztą w momentach przerw w muzyce lub mowie.

Utwory muzyczne o wielkiej rozpiętości tonów nie wychodzą z taśmy tak dobrze, jak ze starych nagranych płyt. Wreszcie, co kilka lat trzeba taśmę przegrzewać, gdyż inaczej zapis „wysycha”, ginie.

Jednak wobec bezspornych zalet magnetofonu nie da on sobie na pewno odebrać pierwszeństwa przed innymi aparatami utrwalającymi przez ładnych „na ście czy „dziesiąt lat.

Z krainy paradoksów

Łagodna rewolucja dyrektorów

Znacie to słynne powiedzenie: można znaleźć wiele racji dla kapitalizmu, z wyjątkiem jednej — racji bytu. Amerykańscy ideolodzy imperializmu rozumieli wreszcie tę prawdę i od pewnego czasu nie kruszą już kopii o kapitalizm. Przeciwnie — twierdzą (słuchajcie! słuchajcie!), że w Ameryce kapitalizm należy już do przeszłości. Po prostu nie ma go. Co się z nim stało? Czy rozwiązał się? Nie, przemienił się stopniowo i łagodnie w „nowy” ustrój społeczny, odmienny od kapitalizmu, ustrój, w którym państwem kieruje kasta administratorów, inżynierów, techników i innych specjalistów. W tym osobliwym państwie dyrektorów „kapitał” oddala się coraz bardziej od środków produkcji, a społeczeństwo organizuje się według hierarchii zawodów, czyli rang, przy czym do kasty panującej zalicza się „ludzi zaufanych całego społeczeństwa”, to jest wysokich urzędników i wojskowych, a nie właścicieli. Według tych koncepcji „różnice klasowe zniwelowały się” a kapitalizm przestał istnieć. Dawniejszy kapitalizm „sami rezygnują” z wykonywania wszystkich funkcji kapitalistycznych, oprócz otrzymywania części dochodów, to jest obcinania kuponów akcyjnych. Historyczna funkcja kapitalizmu zatem — w myśl tych wynurzeń — skończyła się. Bez wstrząsów i wybuchów powstał nowy ustrój, w którym rządzą już nie kapitaliści, lecz dyrektorzy. „Gotów jestem walczyć z kapitalizmem — pisze jeden z teoretyków państwa dyrektorów, Renner — lecz skąd wezmę kapitalizm?”

„Wynalazek”

Jamesa Burnhama

Zastanówmy się najpierw, kto to głosi cwo sielankowe odejście kapitalizmu. Jako pierwszy wystąpił z tymi „rewelacjami” James Burnham, amerykański socjolog, trockista, który jeszcze na początku drugiej wojny światowej wydał książkę pt. „Rewolucja dyrektorów”. Książka ta tak podobna była się wpływowym grupom kapitalistów amerykańskich, że zorganizowano jej hałaśliwą reklamę i powtórzono w dziesięciu wydaniach. Po wojnie do Burnhama dołączyli się inni: Drucker, Alasco i Strausz-Hupe z Ameryki, Renner z Austrii, Sering i Ollenhauer z Niemiec zachodnich, Crosland z Anglii i Jules Moch z Francji. Poglądy ich znają wszyscy mieszkańcy Ameryki i Europy zachodniej, gdyż przewędrowały z książek fachowych na łamy popularnych czasopism i stały się ważnym instrumentem imperialistycznej propagandy.

Jaki jest rodowód tej osobliwej teorii? Bardzo prosty: kiedy powstał silny obóz socjalizmu — dawne formy zachwalania kapitalizmu (no i szkalowania socjalizmu) stały się niewystarczające. Tak jak w okresie międzywojennym amerykańscy ideolodzy imperializmu usiłowali przeciwdziałać narastającej fali rewolucyjnej przy pomocy skonstruowania ad hoc filozofii pragmatyzmu, tak po drugiej wojnie światowej usiłują oni ogłupiać niezorganizowane masy pracowniczymi sensacyjnie brzmiącymi rewelacjami o „nowym społeczeństwie kierowników”, które rzekomo w USA zastąpiło starą kapitalistyczną organizację państwową.

Ciekawe, że teza o pokojowym „samowykańczeniu się” starego kapitalizmu stała się oficjalną doktryną pravicowej socjal-demokracji we wszystkich krajach kapitalistycznej Europy.

Żadnych praw... oprócz zysku

Czymże jest ta teoria? Niczym innym, jak dywersją, o partą zresztą na jawnym kłamstwie. Jej wyznawcy głoszą, że walka z kapitalizmem jest bezpodstawa, ponieważ kapitalizm znikł w sposób fantastyczny, mimo że... dotychczasowy system wyzysku i własności został w pełni zachowany. Ale jakie dowody przytaczają propagatorzy teorii „społeczeństwa kierowników” na potwierdzenie słuszności swoich tez?

Alasco pisze: „Zaczyna się od oddzielenia własności od kontroli nad kapitałem. Własność staje się anonimowa oraz nie materialna (spółki akcyjne) i nie daje żadnych praw oprócz zysku.”

Oczywiście wierutny nonsens. Powstawanie licznej klasy drobnych rentierów, oderwanych całkowicie od produkcji, nie świadczy bynajmniej o zniknięciu kapitalizmu — świadczy jedynie o jego drastycznie pasożytniczym charakterze. Forma akcyjnego przedsiębiorstwa stosowana jest głównie dlatego, że daje szerokie pole do machinacji i oszustw w celu zagarnięcia wielkich zysków kosztem ograbienia akcjonariuszy oraz przy minimalnym wkładzie własnym.

Istnieją magnaci finansowi, którzy przy pomocy zaledwie 15—20 procent całości akcji narzucają swoją wolę masie drobnych ciułaczy i ciągną kolosalne zyski kosztem wyzysku robotników oraz poprzez oszukiwanie średnich akcjonariuszy. W takim wypadku z reguły magnata finansowego reprezentuje w spółce człowiek przedstawiony na stanowisko dyrektora. Rockefeller ma zaledwie 20 procent akcji trustu naftowego Standard Oil Company, a jest przecież nieograniczonym dyktatorem tego trustu. Przykładów można by przytoczyć setki. Faktycznym właścicielem przedsiębiorstw jest grupa maklerów finansowych, którzy zagarniają w swe ręce kontrolne pakiety akcji i narzucają swoją wolę zgromadzeniu akcjonariuszy poprzez podstawionych, niewolniczo sobie posłusznych dyrektorów.

W sprawie cyrygentów

Na czym polegają dyrektorские oszustwa w spółkach akcyjnych? Oto dyrektorzy zmniejszają do minimum dywidendy drobnych akcjonariuszy przez ukrywanie istotnych dochodów i powiększanie do niebywałych rozmiarów tak zwanego „kapitału rezerwowego”, za który... kupują sobie akcje innych przedsiębiorstw, rozszerzając w ten sposób swą władzę. Francuskie Towarzystwo Akcyjne „Dillon” z każdego 100 franków zysku — 83 franki przeznacza na „fundusz rezerwowy” — 16 franków wypłaca dyrektorom i członkom zarządu, a zaledwie — 0,15 franka wypłaca jako dywidendy drobnym ciułaczom!

Przeziś i dyrektorzy przedsiębiorstw to po prostu kudy: za nitki ciągną jednak właścicieli. Ciągają z ukrycia, a kudy zachowują swe pensje i stanowią tak długo, jak długo potrafią zanęcić monopolistyczny zysk.

Oto jestota „przeobrażeń” w monopolistycznym stadium kapitalizmu, przeobrażeń przewidywanych zresztą przez Marksa, który pisał: „Zbyteczne jest, aby praca kierownicza wykonywana była osobliwie przez kapitalistę. Dyrygent orkiestry bynajmniej nie musi być właścicielem instrumentów muzycznych orkiestry, którą dyryguje.”

Brednie na temat „społeczeństwa dyrektorów” to nic innego, jak jeszcze jedna forma ogłupiania mas, którym usiłuje się w ten sposób sugerować, że walka robotników z kapitałem należy „do przyszłości”, to kłamliwy wymysł dla zamaskowania faktycznej dyktatury monopolistów.

WIDZ

Rozmowy z delegatami na II Zjazd ZMP

AKTORKA

nia. Kolega przyrzekł poprawę i dziś nie mamy mu nic do zarzucenia. Podobnie było z jednym naszym młodym kolegą — aktorem. A więc sodowiarstwo albo bufonada... To zresztą typowa wada kolegów, przychodzących do nas ze szkół aktorskich. Wydał im się, że zdobyli tam tyle mądrości, taką rutynę, że muszą ośnić swych starszych kolegów. Kolega ten chciał reżysera zaskoczyć własnymi koncepcjami odwrócićmi (oczywiście nikt w teatrze nie zamierza przeszkadzać nowatorstwu), te pomysły jednak, zdaniem kolektywu aktorskiego jak również reżysera, nie były słuszne. Trzeba było wodę sodową wylewać.

Jednym z bardzo ważnych zadań, stojących przed naszą organizacją, jest troska o rozwój młodych aktorów, a z tym dobrze nie jest. Nasz przedstawiciel nie wchodzi w skład Rady Artystycznej. Może też jest w tym trochę z naszej winy, bo za mało biliśmy się o to. Poza tym nie dysponujemy świetlicą, w której moglibyśmy się zbierać na spotkaniach dyskusyjnych, o mawiać recenzje, ukazujące się w prasie, a nie zawsze się z nimi zgadzamy — Zofia Streer po patrzyła znacząco na mnie (pośpiesznie wyjaśniłem, że nie pisuję recenzji) — a także wieczorami towarzyskie połączone z tańcami itp. Głównym jednak brakiem są, naszym zdaniem, w obecnym układzie rzeczy, małe perspektywy rozwojowe młodego aktora w teatrach poznańskich. Powodem tego jest zbyt szczupła ilość premier, Aktyrzy nie mają sposobności wygrać się w nastrożniejszych rolach, doszukać się swojego własnego stylu, interpretować postaci, które im najbardziej odpowiadają, jak to się u nas mówi „leża”.

— Pochodźcie coś o sobie...

— Pochodzę z Malopolski, stąd

dia kończyłam w Krakowie, do

ZMP należę od 1948 roku, a te raz nawał pracy... Jeśli chce pojsć do kina, czy pojszcie wolny czas sprawom osobistym — musimy zawsze zaglądnąć do kalendarzyka. Niech pan pomyśli, od pół roku nie byłam w Ope-

rze...

Nie dziwny się, Brała przecież udział w kampanii wyborczej do rad narodowych — teraz w pracach przygotowawczych do II Zjazdu. Wczoraj np. była na odprawie zwołanej przez Zarząd Wojewódzki ZMP.

— Jeżeli chodzi o walkę z nudą zebraniowa, to wpadłem na pomysł przemianowania naszych zebrzań ZMP-owskich na „spotkania młodzieżowe”, które wbrew utartym zwyczajom miałyby charakter koleżeńskich pogawędek w „wiele oczu” bez faktycznego prowadzenia zebrania, odczytywania porządku obrad czy udzieleniu głosu dyskusantom. Chodzi przecież o treść zebrania, a nie o formę, prawdę?

Wracam, że byłam kiedyś na spotkaniu młodych nauczycieli wiejskich pod Kielcami i w czasie którego, w formie swobodnej rozmowy przy czarnej kawie — wymieniono wiele bardzo ciekawych myśli i spostrzeżeń. I do dyskusji nikogo nie trzeba było podzić, kto chciał wstawać i mówić.

— Często walczę sama z sobą — ciągnie Zofia Streer. — Nie chciałabym uchodzić za stampergo aktywistę młodzieżowego, specja od ustawiania, realizujące go program „po linii” na zebraniach, w czasie których uczestnicy śpią albo chyłkiem wymykają się z sali...

Zaryzykuje twierdzenie, że kol. Streer pomaga sobie tutaj „teorią”, której poszczególne prawdy tkwią w punktach antypodurackich fraszek i felietonów, recytowanych w czasie występów kabaretu literackiego.

Rozmawiał: Czesław Michniak

BIAŁA LASKA

(Dokończenie)

oitem do domu rodziców Agnieszki, ogrodników pod Sosnowcem. Znajome, niewysokie pokoje w domku koło toru. W stołowym na stole leżał album z obrazami. Zostawiła mi go dla rozrywki szwagierka Adela. Dobrze z sobą żyjemy, dziwi mnie tylko, że wciąż wygląda jak dziewczyna, a przecież to tyle lat, tyle lat... Nic się w moich snach nie starzeje. Gdy wyszła, chwyciłam album, ciekaw ogromnie tych obrazów. Już otwierałam okładkę, już miałam przeczytać tytuł, gdy naraż wszystko znikło jak zdmuchnięte.

Agnieszka wraca do mnie stale, lecz i ona wciąż jest młoda. Czas się jej nie ima. A podobno twarz jej poorały już zmarszczki; zresztą i ja je wyzywam pod palcami, gdy glądę moją pocziwając po twarzy. Tymczasem nocą widzę ją zawsze rumianą i hożą, jak przed dwudziestu laty, gdy na zabawach nie mogła się od tan-cerzy opędzić. Zatrzymała się dla mnie Agnieszka na tej granicy lat, tylko jej głos ścichł i nie dźwięczy tak czysto jak dawniej. Aż nieraz dziwię się tej dwoistości. Albo najstarszy syn mój Władysław. Od lat jest już technikiem drogowym w Kieleckiem, już jego syn zaczął chodzić do podstawowej, a dla mnie Władek jest wciąż gołowawem o rumianych, gładkich jak u panny policzkach.

Ale o czym to ja właściwie... Wciąż mnie gadulstwo unosi! Aha! Mówiliśmy o złym chłopcu. Przychodzi i on we śnie. Puka do drzwi. Słyszę jego głos na schodach, ale nigdy do środka nie wejdzę. Wstydyli się, najwyraźniej się wstydzili. Jednak miałem rację.

Ot, bzdurę, jak stary, ale wierzę, samego mnie bawią te sny, które stanęły na trzydziestym ósmym roku życia, jakby zdziwione, że ja po wypadku dalej żyję i już ich nie odmieniam.

Z czasem zatarł się sen o złym chłopcu. Wspomnienia

dawniejszych lat zagłuszyły ostry głos wyrostka. A może wypłoszyła go bezsenność, która nawraca ciężkimi miesiącami co kilka lat.

A przecież historia ta miała taki koniec, jakiegom się nigdy nie spodziewałam.

Rok temu chyba zaczął wychodzić do pracy wcześniej. Tyle się pianin i fortepianów do strojenia zważyło, że dzień mi był za krótki. Jeździłem tramwajem w porannym ścisiku. Nie łatwo wtedy dostać się na przedni pomost. Miejsce to niby dla nas zastrzeżone, ale kto tam raniem uważa. Wciągnąłem nawet opaskę na ramię, żeby się bardziej odznaczyć, ale niewiele pomogło. Ha, cóż! Trudno!

Czasem wsiadałem tyłem wozu i wtedy rozdzielił się inny kłopot. Nie zawsze na czas zdążyłem dopchać się do wyjścia. Przystanki krótkie — zawsze byłem zdenerwowany. Raz, tak zatarasowali wyjście, że nie zdążyłem wysiąść. Małgoska ugrzęzła między ludźmi, a tu już do środka pchają się pasażerowie przednim wejściem. Chciałem protestować. Ledwo jednak stąpnąłem na stopień, jakiś brutal, nie czekając aż będę na ziemi, szarpnął się do przodu, a ja straciłem równowagę. Zleciałem ze stopnia i potknąłem się na bruku, a Małgoska uciekła gdzieś bez śladu.

Byłbym na pewno upadł, gdyby mnie ktoś silnie oburzący nie podtrzymał. Kobiety ujęły się za mną i zdrowo zmyły głowę gagatkami, co przed wszystkim wlaży. A mnie nad uchem szepnął młody, silny głos: — Zaraz podam laskę, tylko dojdziemy do chodnika.

Przecież znam ten głos. Gdzieżem go słyszał? Głowiłem się, stojąc na brzegu chodnika, gdy wrócił po laskę. To tak zupełnie jak u was, gdy w tłumie migiła twarz, którą gdzieś widzieliście, ale nie pamiętacie gdzie. Grzebałem w pamięci, ni-

czym w kuferku z rupieciami, — ale wy już na pewno wiecie, o kogo chodziło. — Czy nie pan sobie nie zrobił? — zapytał troskliwie, wtykając niesforne Małgoskę w garść. Ależ tak! To był głos złego chłopca, głos którego szukałem kiedyś jak myśliwiec zwierzyny. To on śnił mi się po nocach, zabarwiony tonem ostrym i chropawym. Na pewno się nie mylę.

Podziękowałem młodemu, ścisnąłem mu dłoń serdecznie, ale nie odchodził. Chciał mnie doprowadzić i napraszał się zaawstydzony. O, był zaawstydzony, czułem to. Na pewno. Myśleliśmy o jednym. O tamtej chwili. Przecież musiał mnie poznać. Powtarzał kilkakrotnie: Odprowadź pana. Mam jeszcze trochę czasu. Uniwersytet blisko, na wykład jeszcze zdążę.

Zawsze denerwuję się, gdy ktoś mnie chce prowadzić po mieście, które znam niezgorzej od was. Ten mnie rozczulił. Przystałem, żeby nie robić mu przykreści. Ruszyliśmy szparko do Spółdzielni Muzyków-Pedagogów, kilka kroków zresztą. Mówił niewiele, a ja i tak wsłuchiwałem się nie w słowa, ale w głos, w „głos złego chłopca“.

Ot, i koniec historii. Nie powtarzam jej Agnieszce. Nie puściłaby mnie rano samego, a gdzież jej biedaczce przed pracą starego prowadzić. Nie zginię człowiek wśród ludzi. A jeśli który gorszy niż inni, to i ten może się zmienić. Cierpliwości tylko! Zmieniają się ludzie, zmieniają. Zmieniamy się przecież wszyscy. A ja rękę dam sobie dziś uciąć, że wtedy sztabak stanął za rogiem i patrzył, jak się z jezdni wygrzebuje. Wstyd mu się zrobiło na widok białej laski, na pewno wstyd. Dlatego tak się rozradował, że może za tamto odpłacić. Zmądrzałeś, chłopcze! Wydorósłeś! Sam to widzisz. Zapamiętam sobie twój ostry,

niski głos, dobrze zapamiętam. Nie będzie to już w mojej rupieciarni głos złego chłopca.

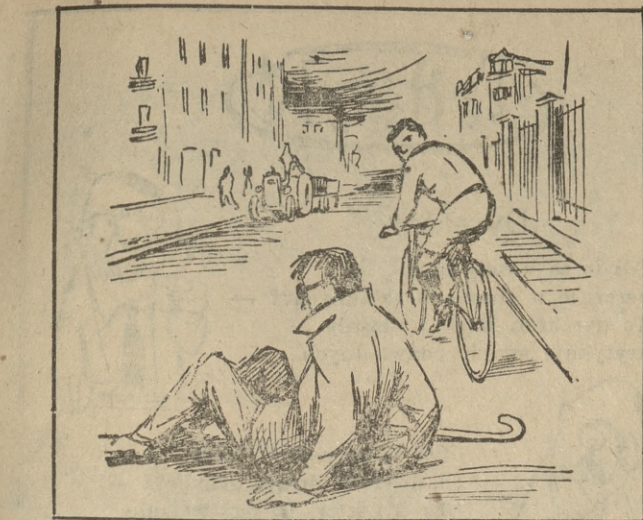
Kioskarz Ciekocki znów z piwoskami żartuje na całą ulicę. Wróciłem w lewo i do chaty. Ładny dziś spacererek zrobiłem, nie ma co mówić. Słońce musiało się schować, bo chłodniej. Już to najlepiej spacerować rano i wieczorem. Powietrze wtedy czyste i najspokojniejsze. Ciekawe, czy też Agnieszka już w domu? Jeśli jeszcze jej nie ma, zakrzętnie się sam przy kolacji. Będzie niespodzianka.

A wy się śmiejecie, co? Myślicie, że kiepski ze mnie kucharz. Otóż i nie! I ja umiem się ruszać przy garnkach. Po prawdzie nie tak jak Janek Talarczyk z Warszawy, który mnie na ślepo paczki uczył smażyć. Minutka jeszcze do domu, może zdążyć przypomnieć i tę historijkę. Na śmiech mi się zbiera, ilekroć ją wspomnę.

Talarczyk poznałem na kursie strzelań w Bydgoszczy. Trzy miesiące mieszkaliśmy w jednym pokoju. Żyłem się z nim łatwo, gdyż lubię ludzi wesółych. Ten ci dopiero miał kucharskie ambicje. Kiedyś, uparł się smażyć paczki na maszynce elektrycznej. Było to akurat w karnawale. Przywiózł z domu oliwę, masło, drożdże. Ano, wyrobiliśmy ciasto jak się patrzy i smażyliśmy na patelni, przejeżdżając jak nigdy. Skwierczało i śmierdziało w całym pokoju. Dziubaliśmy widelcami, w końcu schwytałyśmy wszystkie paczki, a było ich osiem. Talarczyk rozczulił się. Postawił na krześle talerz i tam odkładaliśmy nasze dzieło. Potem poszedł do szafy po cukier. Tak się biedaczysko przejął robotą, że wracając zapomniał o krześle. Kopnął je, talerz zleciał, a paczki rozbiegły się po całej podłodze. Co za niedorajda! Szukaliśmy ich po omacku, ale nie z tego nie wyszło. Musiały się potoczyć pod łóżko. Wiecie, kto nam pomógł? Małgoska i jego laska. Zamiatałyśmy laskami po podłodze. Więcej to czasu zajęło niż całe smażenie, ale — wyobraźcie sobie — sześć paczków znaleźliśmy. Na pewno były obspiane kurzem jak maczka cukrowa. Pachniały starymi kątami. Janek umył je z grubszą w miódnicą, a dopiero potem obspał cukrem. Długo mnie przekonywał, że byłyby całkiem udane i smaczne, gdyby nie to mycie. Morowy chłop z Talarczyka. Korespondujemy z sobą do dziś braille. Pytam się czasem, czy jeszcze piecze paczki?

No, debiliśmy kresu. Przyznam, że czuję troszkę w nogach ten pierwszy wietrzny spacererek. Ale to zdrowo! Napatrzyłem się, nasłuchałem, natykałem światła, ile wlezie. Mam satysfakcję. Kiedyś w pościu, w czasie podróży pogawędki, pewna paniaczka nie mogła się nażądać: „Jaki pan biedny, że pan światła nie widzi“. Denerwują mnie tacy ludzie. Choć miłutkie to było, zgasiłem ją od razu historyjką. Kreślił się kiedyś po śląskim oddziale Związku Niewidomych taki Franio, co nie widział od urodzenia. Dużo mu o świecie mówili, o kolorach, o widokach dalekich. Nie mógł zrozumieć, ani widzących, ani nas — ociemniałych. A strasznie był ciekaw świata. Zawieźli go kiedyś do specjalisty na operację i Franio w wieku lat dwudziestu odzyskał wzrok. I wiecie co? — Strasznie był zadowolony. — To tylko takie — grymasił rozglądając się dookoła — znacznie ciekawiej sobie wszystko wyobrażałem. Jedyne śnieg nie sprawił mu zawodu. Dawniej nie miał żadnego wyobrażenia, jak taki zimny puch może wyglądać. Śnieg jeden przeszedł wszystkie oczekiwania. A ja tak sobie czasem myślę, że nie miał racji Franio, nie miała też racji paniaczka z kolei. Ładny jest nasz świat, a i my, choć los sprawił, że trochę inaczej go kosztujemy, potrafimy niejedną z tych piękności odczytać. A czyż ja, niewidomy strzelec, nie opowie działem wam dzisiaj czegoś nowego, czegoście nie dostrzegli?

Ot, i drzwi roznoszone. Pójdźcie z raz, Małgoska, na wieszak, utulajcie się sebnie, a ja sobie otworzę radio — jeszcze jeden wielki, przepastny świat, zamknięty w gładkiej skrzyneczce. Psst! Trzeszcza schody na dole. Zdaje się, wraca Agnieszka.



Ne, chyba czas już wracać. A gdzież to się moja wierna cebula podziła? A, jesteście tu, starucho. Czuję pod palcami, jest już pót do szóstej. Czas wracać, jeśli chce być przed Agnieszka i Julcia. Już by mi córuchna najmłodszą nie darowała czekania.

A wtedy, na śniadeckich, właściwie sam byłem winien. Postrzeleniec ze mnie, choć sześćdziesiątka na karku. Traktor przejechał obok, a za nim łomotyły puste przyczepki. Pewny, że nie nie nadjedzie z boku, gdyż hałaśliwy pociąg zasłonił wyłot bocznej ulicy, ścisnął silniej Małgoskę w garci i wkraczam na jezdnię. W połowie drogi usłyszałem, że coś śmiga ku mnie, ale za późno było uskończyć. Zawadziłem rozpedzony rower. Zakotłowało się, leżę na jezdni, Małgoska gdzieś przysnęła i tylko nad głową słyszę gniewny głos wyrostka: coś pan ślepy, że pod rower leżysz? A właśnie, a właśnie, myślę sobie. Tylko tamten nie nie poznał po oczach, bo mi ciemne okulary spadły. Chciałem już skrzyknąć smar-kacz, był bowiem jeszcze jeden, nadjechał po chwili. Myślałem, że pomaga wstać, że przeproszą i podadzą Małgoskę. Naraz ten rozbił ją krzyknął: — Pryskam! Belfry! Skoczyli na rowery i znów waż zaszczał na asfalcie. A traktor z dala terkotał coraz ciszej.

Ha, cóż! Wstałem, otrząpiałem się trochę. Znalazłem okulary, na szczęście całe. Bieda była z Małgoską. Gładka laska pojechała gdzieś po asfalcie i szukała wiatru w polu. Stąpnałem kilka kroków tu, kilka kroków tam, wysuwam nogę, macam i — nic. Ktoś, może któryś z tych belfrów, przechodził i przwniósł mi ją wreszcie. Wyładowała za rogiem.

Długo, oj, bardzo długo dźwięczał mi w uszach głos wyrostka. Nazwałem go, tak dla siebie, „głosem złego chłopca“. Szukałem go — a nuż gdzieś ten sam głos usłyszę. W tramwaju, czy na ulicy... Jest koło śniadeckich kilka szkół. Na pewno był to jakiś uczeń. A głos miał ostry, rzadki. Taki wyraźnie odcina się od innych i długo tkwi w pamięci; nie rozmazuje się jak inne.

Agnieszce nic nie mówiłem, ale w Związku Niewidomych opowiedziałem wszystkim dokumentnie. Już nieraz trafiały się skargi na obojętność młodzieży wobec inwalidów. Napisałem serdeczny list do młodych, do wszystkich szkół i organizacji młodzieży. Pamiętam, że my też chodzimy po ulicach!

Tak, na tym się niby skończyło, ale mnie długo jeszcze gryzła cała sprawa. Bo pomyślałem tylko, że Kazek, mój wnuk, czy jego koledzy, mieliby być tacy za kilka lat—brrr! Dreszcz obrzydzenia wstrząsa człowiekiem.

Już nawet nie miałem żalu, że na mnie najechał. Wesole to, rozhasane, prosto ze szkoły. Nie widział laski, bom ja trzymał z drugiej strony. Chodzę pewnie, więc po krokach też inwalid nie poznał. Trudno. Po coś Szymonie na jezdnię przy traktorze wlaży! Ale żeby tak człowieka bez pomocy na środku ulicy zostawić! Aż mi się wierzyć nie chciało, że to rozmyślnie. Musiał się naprawdę wystraszyć. Przecież krzyknął: — Belfry! Bał się, że go poznają i ukarzą.

Wyobrażałem sobie, że odjechał, lecz stanął z dala i patrzył z niepokojem na skutki swego czynu. A gdy zobaczył, że przechodzień oddał mi białą laskę, musiało mu się na pewno zrobić przykro, bardzo przykro. Im bardziej wmaślałem to sam w siebie, tym bardziej malała złość.

A potem po nocach śnił mi się głos złego chłopca. Szorstki, wyzywający głos. Urażał mi z mroku, jak zza sceny, na której żyje i krąży wiele postaci.

Trzeba wam wiedzieć, że śnie często, znacznie częściej niż Agnieszka. Wychodzę zawsze snu jak barwnego filmu, w śnie bowiem odzyskuję wzrok i widzę jak wszyscy. Wracam do miejsc, w których kiedyś żyłem. Spotykam dobrych znajomych sprzed lat. Z uśmiechem zaglądam im w oczy. Na bujnych łakach pysznie zieleni się trawa, dalej pola złocą się zbożem. Lubię też odwiedzać jeziora, ukryte wśród trzcin, i patrzeć, jak wiatr marszczy powierzchnię wody. Widzę tak samo dobrze jak inni, tylko...

Uch! Muszę sobie westchnąć, żalostnie mnie naraz zdjęła. Sny moje dzieli granica, której nigdy przekroczyć nie zdołam. Wracają do mnie jedynie obrazy z dawnych lat, gdy jeszcze widziałem. A przecież we śnie odwiedzają mnie również nowi znajomi i przyjaciele, poznani niedawno, choćby ze Spółdzielni Muzyków-Pedagogów, gdzie stroje najwięcej. Dlaczego jednak żaden z nich nie wchodzi na scenę, dlaczego nie wyprowadzi się ze mną na wędrowkę wśród pól, czy do chłodnych borów. Ileż to razy gawędaż z mną w ciemności, zza kurtyny, której nie chcą wyminąć. Zgniewany ruszam naprzeciw, pewny, że wreszcie zobaczę twarz, którą do tej pory rysuje mi jedynie głos i... budzę się lub uderzam we śnie o ścianę, której przejść nie można.

Zresztą nie tylko ludzie. Czasem wika się to wszystko nad podziw. Onegdajszej nocy wró-

INDIE dalekie i bliskie

Nasz wyjazd na Kongres rozpoczął się niezbyt fortunnie: po PLL „Lot“ dano nam szczegółowy rozkład lotów od Warszawy aż do Delhi; zapomniano o drobności — różnicy czasu, która między Warszawą a Delhi wynosi 4 i pół godziny. Oczywiście wszystkie połączenia lotnicze zawiodły i spóźniliśmy się na Kongres o 2 dni.

Tym właśnie epizodem zaczął mgr inż. W. Kontek, dyrektor Instytutu Technologii Drewna w Poznaniu, opowiadając swe wrażenia z Indii. Był on przewodniczącym delegacji polskiej na IV Światowy Kongres Leśnictwa, który odbył się w grudniu ub. roku w miejscowości Dehra Dun w Republice Hinduskiej.

Pierwszym „przystankiem“ była Praga, drugim — Amsterdam. Warszawę zegnaliśmy przywilejem w białą szatę śniegu, a już nad Amsterdammem spotkała nas burza i ulewa deszczu. Na lotnisku powitał nas krzyk angielski z „atlantyckim“ akcentem i gigantyczne reklamy. Amerykanie dobrze się tu już widać zadowolili... Potem do stolicy Francji, z Paryża odlecieliśmy potężnym 4-motorowym samolotem o 72 miejscach pasażerskich (poza obsługą). Leci się nim z szybkością 600 do 700 km/godz., na wysokości 6 do 7 tysięcy metrów.

Martwe pejzaże księżycowe

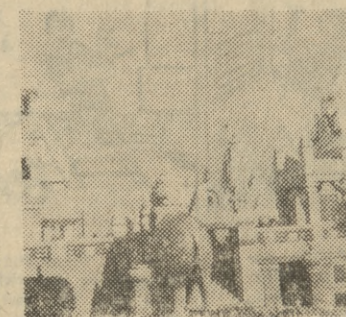
Do Bejrutu czuliśmy się normalnie. Dopiero po opuszczeniu stolicy Libanu zaczęły się niesamowite widoki. Pustynia arabska. Żółty, sfalowany piach, żadnego życia. Raz po raz tylko ciemniejsze plamy jakichś porostów. W ciągu 2 godzin lotu dwukrotnie tylko zauważyłem małe cazy! Nawet nad jeziorami nie ma życia. Pewnie słone... Potem lot nad pustynią skalistą, wzdłuż wybrzeży Persji. Tu krajobraz łączy księżycowy. Martwe, o-

gromne góry, gołe, ostre ścianami, wąwozy Aratery. Wrażenie wstrząsające, przynębiające. Wreszcie Karachi, stolica Pakistanu. Krajobraz zmienił się o tyle, że tutaj mamy pustynię... piaszczystą. Karachi jest portem z jednej strony otoczonym morzem wód, z drugiej — morzem piaszków. 100 do 150 km od miasta zaczynają się dopiero uprawne tereny. Żywność dowozi się wielbłądami, osłami i samochodami. Miasto jest całkowicie oprowadzone przez Amerykanów.

Jak do gorącego pieca

W powietrzu nie odczuwaliśmy różnicy temperatur. Do Karachi wpadliśmy jak do pieca. 30° C! A w Warszawie zostawiliśmy mrozy.

Ulice stolicy wypełniają wielbłądy, osły, krowy z ogrom-



nymi łukowato zagiętymi rogami, sępy i... żebracy. Ci ostatni opadają każdego białego jak szarańcza, proszą, błagają, potrzebują kikutami zżartymi przez trąd i czekają na datkę. Ale biada, jeśli się zlitował nad jednym — reszta już cie nie opuści. Z flory widać palmy, kaktusy, pełno jakiegos kołczastego diabelstwa. Wszystko, co rośnie, jest sztucznie nawadniane. Mieszkańcy, to mużlanie. Kobiety chodzą w walcach, pochwijają w swoich płachtach, w najdziwniejszych sposobach. Jedyne to bodaj miejsce na świecie, gdzie wielbłąda używa się jako zwierzę pociągowe.

bez żadnej ewidencji. Nie ma też pola do działania... dla urzędów kwaterunkowych. Statystyczne rzęsy pod gołym niebem: 4 patyki wite w ziemię, nad tym kawałek płachty — ot, i mieszkanie!

Kombinacje spekulacyjne

Spryciarze urządzają się w ten sposób, że zaczynają budować dom, postawiają fundamenty i kawałek ściany, a następnie zwracają się do placówki dyplomatycznej z propozycją dzierżawy tego „domu“. Za pieniądze z dzierżawy wykończają



Na pamiętkę polowania na tygrysa w dżungli u stóp Himalajów zrobiliśmy wspólne zdjęcie. Polowanie było bezkrwawe — z aparatem fotograficznym, ale niemniej udane.

Do podziału Indii na Hinduistan i Pakistan Karachi liczyło 400 tysięcy mieszkańców. Dziś liczy 1,5 miliona! Z Hinduistanu napłynęła istna fala muzułmanów i tak zwiększyła się ludność nowej stolicy. Obliczenia są zresztą bardzo przewidywalne. Nie ma tu biur meldunkowych, wszystko to przypluwa, odpływa, jak chce,

dom, po czym... mieszkają dalej pod swoją płachtą, a zaczynają nową budowę. Na takich prawie wyłącznie warunkach powstaje nowa dzielnica mieszkaniowa w Karachi. Budowa wygląda też inaczej niż u nas. Robotnicy pracują od świtu do zmroku, na budowie nocują i nie schodzą z niej dopóki nie skończą.

To wielkie zbiorowisko ludzkie toczą choroby, głównie trąd. Nikt się tym nie zajmuje, nie leczy, nie troszczy choć o minimum higieny. Do tego dochodzi jeszcze jedna kłeska — głód. Placek z maki, pieczony na patelni bez tłuszczu, i woda jest normalnym pożywieniem Hindu. Nędza tu jest nieprawdopodobna, trzeba zobaczyć, aby uwierzyć. Ponura puścizna kolonizatorów uderza tu z całą jaskrawością. W Republice Hinduskiej nie jest zresztą lepiej. Tam jednak, dzięki mądrej, względnie niezależnej polityce rządu premiera Nehru, widać wyraźny zwrot ku lepszemu.

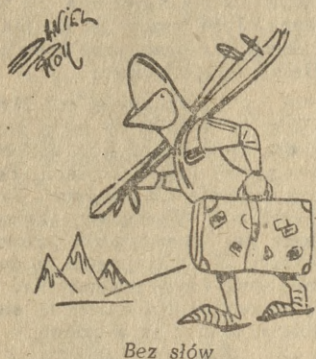
Ale lecimy do Delhi. Bardzo ruchliwe miasto tonie w zieleni. I tu opada Europejczyka tłum żebraków, i tu głód jest kłeską społeczną. 60 milionów bezrobotnych (!) w Indiach (oczywiście, szacunkowo), to nie żarty. Jak jednak powiedzieliśmy, widać w Republice Hinduskiej wyraźne jaskółki poprawy. O tym już jednak w następnej rozmowie.

Opracował:

MIECZYSLAW SKĄPSKI



Polityka z pozycji siły



Bez słów

REMONTY

Wybrałem się z żoną do kina, gdzie miła czekała rozrywka. Wraz z nami córeczka Nina dreptała, aż trzęsła się grzywka.

Doszliśmy na miejsce wzorowo, lecz oto na drzwiach, oraz w kacie tabliczka oznajmia rzeczowo, że kino, niestety, w REMONCIE.

„Chodźmy na kefir do baru” — myśl słuszną poddała Nina, lecz znowu fiasko z zamiaru, rzędnać poczęła nam mina: bo oto na drzwiach zawartych REMONT! — krzyczała biel kredy.

Zaliczam się do upartych, lecz zniechęciłem się wtedy i wykrztusiłem z mozołem, pełen zawodu i sromu:

„Dziś pech nas otacza kołem, wracamy zatem do domu” — Lecz co tam? Wapno i glina i ruch wre na każdym gonicie —

Wrzasnęła z triumfem Nina: „Nasz dom nareszcie w REMONCIE!!!”

RYSZARD KUJAWSKI

Opowiadanie TANCY GWAZDKI

POWOŁANIE

— Zobaczmy — rzekł mąż do żony — kim będzie nasz Johnny, gdy dorosnie — mówiąc to położył na stole banknot dziesięci dolarowy (mający być symbolem stanowiska bankiera), i biblię (symbol stanu duchownego), a tuż przy tym postawił butelkę whisky uosabiającą gorzką dolę pijaka.

Po chwili wesoło pogwizdując wszedł Johnny. Rozglądając się podejrzliwie, a że nie zauważył nikogo, szybkim ruchem wsunął banknot w kieszeń, biblię uchwycił pod pachę, rękoma czule objął butelkę i cichutko wysunął się z pokoju.

— Boże! — jęknął ojciec. — Johnny będzie działaczem politycznym!

BLĄD W REALIZMIE

Jeden z bankierów zamówił u znakomitego artysty swój portret. Ukończony obraz przedstawiał go w imponującej postawie z rękoma w kieszeniach.

Wszyscy zachwycali się dziełem. Tylko stary farmer na widok obrazu uśmiechnął się:

— Piękny portret, nie ma

— Przyszedłem zgłosić urodzenie dziecka.
— A jakie ma imię?
— Marynika.
— Oj, szkoda, że nie urodziło się pół roku wcześniej...
— Dlaczego?
— Bo byście dali mu na imię „Wio, koniku”...

co mówić! Tylko, że nie podobny do swego oryginału. Przecież na portrecie ręce są namalowane w jego własnych kieszeniach...

ROZNIKA

Sekretarka milionera: — Sir, na salę przyjęć oczekuje pana grupa ludzi. Pragnę poznać sekret pańskich powodzeń.

Milioner z przerażeniem: — A kim oni są? Dziennikarze czy... czy... policjanci? (Z „Krokodila” tłum. L. C.)

Anegdoty

G.B. Shaw został kiedyś zaproszony na wystawę rasowych psów. Oprowdzając po wystawie opowiadał o ich nieprzećietnej inteligencji.

„Wszystko to, mój panie, nic w porównaniu z psem mojego sąsiada — powiedział Shaw. — Żyjemy z sobą w bardzo przyjaznych stosunkach. Ilekroć wychodzę z domu i przechodzę przez ogród, pies przybiega w podskokach, gdyż zawsze otrzymuje ode mnie kawałek cukru. Pewnego poranka bardzo się spieszyłem i zapomniałem o przysmaku. Pies towarzyszył mi spokojnie, ale przy furtce — chwycił za nogawkę od spodni i zaczął delikatnie ciągnąć w stronę klombu, wysadzonego kwiatami. Spojrzałem i zrozumiałem — tam rosły niezapominajki...”

W poczekalni lekarza

— Nerwy mam tak stargane, że już czas, by mnie wysłali do sanatorium. Padłem ofiarą pracy. Tak, tak! W trosce o podniesienie produkcji biegam, jak dzień długi. Ale co — i tu się nie zgadza, i tam coś „nie gra”... Wściekła bieganina. A produkcja, miast podnosić się, spada.

— Nie mogę zrozumieć jednej rzeczy. Skoro pan cały dzień tak biega po fabryce, to przecież...

— Ależ nie po fabryce! Sądzi pan, że starczy mi na to czasu? Gdzie tam, przecież biegam od ministerstwa do ministerstwa.

— Nigdy nie przypuszczałem, że z moim wzrokiem jest tak źle. Dopiero koledzy namówili mnie, żebym poszedł do okulisty. A zaczęło się od tego, że z powodu złego wzroku kupilem strasznie kiepski termos.

— A gdzie pracujecie?
— Właśnie w fabryce termosów.

— Też pomyśl, kurs księgowości... Zresztą przy moim stanie zdrowia wskazanym jest możliwie najwięcej ruchu; hemoroidy, proszę pana.

— To może pójdzie pan na kurs szoferski, co? (tłm.)



Fraski

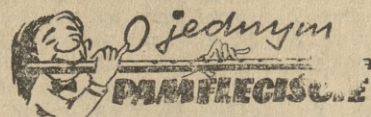
Dyrektor

Cóż to za wesoły facet peroruje w zdaniach składnych?? — To dyrektor. Dzisiaj właśnie krytykuje swych podwładnych...



Cóż to za ponury facet nadwiera drzącą grdykę?? — To dyrektor. Dzisiaj właśnie wieci w czyn samokrytykę...

WŁ. SCISŁOWSKI



W jego fraskach — krztyna jadu, lecz dowcipu ani śladu. Trzeba trochę ćwiczyć przecie nim się zagra na pam-flecie!

Bezgrzeszna

Tak bezgrzeszną była istota, że nawet nie grzeszyła cnotą...



W. DEGLER



Łatwiej jest boso wspiąć się na Giewont, Dukat odnaleźć pośród miedziaków, Łatwiej być orłem, albo też mewą I pod Grunwaldem pobici Krzyżaków, Łatwiej poznać nańskie jest zwiedzić ziemie, Łatwiej zamieszkać na MDM-ie, Niżli w poznańskich odnaleźć kioskach Gatunkowego ślad papieroska!!!

LECH KONOPINSKI

Kasjerce „Orbisu”

sprzedającej bilety do kin

Plan przedterminowo dobija do mety — znów na jedno krzesło pójda dwa bilety...

W. S.

HISTORIA z Gwoździem

(Według „Eulenspiegel”)



— Gwoździe? Wy-szły. Proszę przyjść pod koniec miesiąca.



— Pani jest uroczą, panno Franiu! No, dla pani spróbujemy zamówić.



— U nas wszystko musi iść formalnie. Najpierw trzeba zrobić rezydent. Oto formularze.



— Gwoździe? Przecież to niechodliwe! Weźcie 100.000 lichtarzy, mam akurat na składzie.



— Podpisać, towarzyszu, to ja podpiszę, ale wtedy, kiedy podpisze dyrektor Pimpuski-wicz.



— Podpisz, Pimpus, moja ciocia też mówi, że gwoździ nie można dostać.



— Gwoździe? Nie ma. Proszę przyjść pod koniec miesiąca.



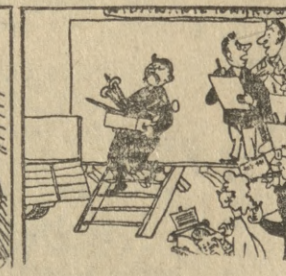
— Szkoda, że nie dostaliśmy waszego zamówienia tydzień wcześniej. Akurat zaplanowaliśmy coś innego.



— Gwoździe? Proszę pod koniec miesiąca.



— Psiakość, nie podali rozmiarów. Weźmiemy 5 ton z piętnaście-calowych. Tych mamy najwięcej i leżą akurat w przejściu...



— No, teraz już chyba pojedą do sklepu? — Coś ty! Jadą do magazynu MHD!



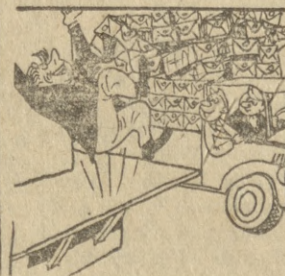
— Ludzie, co wy sobie myślicie! Hurt nie wydaje towaru bez cen, a ceny jeszcze nie przyszły!



— Gwoździe? Pod koniec miesiąca.



— Tak, a teraz prze-liczmy każdą sztukę z osobna...



— Rany boskie, gwoździe jadą; premia le-ol!



— Słyszeliście? Gwoździe sprzedają!



— Bardzo mi przy-kro, ale otrzymaliśmy tylko ten wymiar...



— Ma pani pogrzeba-cze? — Skądże! Ale polecam ten gwoździe — za-gale pan od dołu i już.



— Niech będzie, bło-rę jeden. — Jeden? Sprzedajemy tylko w paczkach po dziesięć kilo...



— No i nie mowilem? Dobijacie się o gwoździe, a one wcale nie idą!